Tom XVI. Nr. 18.

21. czerwca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dziecinna wiara.

Całą noc śnieg padał, dobra droga do lasu pościeliła się gospodarzom wsi Świerkowy i rano cały łańcuch sani wyruszył z pagórka, na którym ładnie rozsiadła się wioska, sunął błoniem żwawo i zniknął w pięknym, pachnącym a zawsze zielonym sosnowym borze. W jednej chacie na wzgórzu gospodyni troszczyła się, że jej mąż nie przywiózł rano wody spiesząc się do lasu, a ona prała chusty i nie jednej jeszcze konewki potrzebowała.

Była w tej wiosce wielka niewygoda z wodą, bo obie studnie były na dole i dość daleko a wieś wielka na wzgórzu; kto tylko więc mógł, miał beczułkę na wodę i woził sobie koniem na całą dobę; kto bliższy dźwigał na plecach. Gospodyni więc nasza widząc, że musi pójść sama po wodę, kołysała dziecię maleńkie na kolanach; dając mu piersi aby prędzej zasnęło, bo się bardzo spieszyła. Był w chacie chłopczyna nieletni Piotruś, dobre dziecko, który bardzo matkę kochał — widząc więc, że matka potrzebuje wody i usypia braciszka aby pójść z konewkami, wymknął się z chaty, wybiegł za wrota,

zawołał z sąsiedzkiego podwórza chłopaka może dziesięcioletniego, swego przyjaciela Fedia i pogadał z nim coś żwawo, schwycili oba za dyszel od małych sanek z beczką, któremi zawsze po wodę jeżdżono i popędzili wesoło do studni. Z góry dobrze było chłopaczkom, przyjechali do studni, naciągli kulką wody, pomagając sobie nawzajem, ale okrągłe ich twarzyczki pokraśniały jak wisznie od zmęczenia, bo to nielada była praca dla małych dzieciaków, a nawet pomódz im musiała dziewczyna biorąca wodę, bo choć takie zuchy, nie mogli sobie dać rady. Przyszło teraz ciągnąć sanki z wodą pod górę. Ciężko to było chłopaczkom, stawali i odpoczywali i obcierali czoła, ale Piotruś zagrzewał zawsze towarzysza, bo dobry chłopiec chciał przywieść matce wody, nim się wybierze sama do studni i ucieszyć ją. W najprzykrzejszem miejscu jednak, nie mogli już dać rady, stanęli a Fedio zasapany rzekł:

— Oho, już nie pójdzie dalej, cóż teraz zrobimy? ja już nie mogę ciągnąć, tak się zmęczyłem.

— Mój Fediu, mój kochany! — prosił Piotruś — nie porzucaj mnie, już niedaleko, Pan Bóg nas poratuje. Zmówmy tu pacierz, ja wiem, że jak zmówimy to jakoś ruszymy z beczką, zobaczysz Fediu! Matka mówi, że w każdej potrzebie trzeba udać się do Pana Boga to Pan Bóg pomoże — i ukląkł chłopczyna na śniegu i zaczął głośno mówić paciorek a za nim powtarzał Fedio. Właśnie wtedy nadeszłam drogą i słyszałam tę modlitwę dziecka..... Skończywszy Zdrowaś Marja i przeżegnawszy się, zerwał się Piotruś żwawo, porwał dyszel i zawołał wesoło aż mu oczy zabłysły:

— A no teraz Fediu!

I jak się zaparli chłopcy — sanki z beczką wyjechały na górę i wbiegły w wrota, a matka rozczulona ujrzała swojego Piotrusia poczciwego, czerwonego jak burak ale szczęśliwego, że matce usłużył; z dziecinną wiarą opowiadał teraz jak im pacierz pomógł i sanki z beczką zrobiły się lekkie!...

Szczęśliwe matki, które dobre i pobożne mają dzieci, szczęśliwe dzieci, które matki nauczyły wiary i pobożności! Z taką wiarą w życiu przy uczciwej pracy i dobrej chęci, pewnie im Bóg sam pomoże i ulży ciężaru. Sama praca bez wiary na

mało się przyda — podobnie wiara w pomoc Boską bez chęci własnej i własnej pracy takżeby obrażała Boga. Z wiarą więc i w uczciwym pocie czoła jak to niewinne dziecię, a dojdziem na górę zbawienia! *B. E.*

Narodziny.

Gdy raz pierwszy dziecina,
Słabe wzniosła powieki,
Głos muzyki dalekiej
Powtarzała dolina.
Drżało światło jutrzenki.
Słowik spiewał w ukryciu
Najpiękniejsze piosenki,
W najpiękniejszym dniu w życiu.

Blaskiem zorzy rumianej
Rozjaśniały się ściany;
Coraz więcej promieni,
Dziecku w oczach się mieni.
Kędy rzuci oczyma,
Na kim oko zatrzyma,
Wszyscy w świecie koleją,
Wciąż się przed nim słaniają,
Ci na palcach się czają,
Ci się patrzą i śmieją.

Coś mu dzwoni nad główką
Coś co cieszy serduszko,
Więc nadstawia swe uszko,
Chwyta słówko, oj słówko,
Głos rodzinny, jedyny,
Samem brzmieniem zachwyca
I dobywa na lica
Pierwszy uśmiech dzieciny.

Ranny wietrzyk przewiewa,
I roznosi na fali
Słodką, lubą woń drzewa,
Bzu i leśnej konwalii.

Matka daje uśmiechy
Ludzie miłych słów dźwięki,
Gaj wolności oddechy
Lichy słowik piosenki.
To i wszystko na świecie
Najpiękniejsze, jedyne,
Czemu śmieje się dziecię,
W pierwszą życia godzinę!

O ukochaj na wieki
Ten głos pieśni dalekiej,
Te poranku wonności,
Te uśmiechy miłości.
O zatrzymaj w swem oku,
Obraz matki kochanej,
Ciemne chatki twej ściany,
Srebrne wody potoki.

Niech w twej myśli dziecięcej
Nie postanie nic więcej,
Tylko matki oblicze,
Jak słoneczko pogodne
Tylko piersi słodycze,
Tylko tchnienie swobodne.

Niech te cuda prawdziwe,
Za któremi nic nie ma,
Twoje serce zatrzyma,
Zawsze jasne, jak żywe.
To i będzie ci znośnie,
Życie czyście przebieży,
A jak burza cię chłośnie,
To cię tylko odświeży.

*

Otoż wchodzą do chaty
Coraz nowi i nowi,
Dziewczę niesie ci kwiaty,
Dziad się z lirą sadowi.

„Zkądżeś przyszło kochanie?
„Czyś ty w niebie wyrosło?
„Czy cię skrzydło bocianie
„Z ciepłych krajów przyniosło?
„A witajże kochanku!
„Jasna zorzo, poranku!
„A witajże raz drugi,
„A żyj z nami wiek długi.

„Niech nam rośnie to dziecię,
„Jak pszeniczny kłos w lecie,
„Niechaj jako chleb w dzieży,
„Rozrośnie się, rozszerzy.“

Tak mu spiewa dziad siwy
Słówka idą jak z płatka,
Że aż cieszy się matka,
Cieszy ojciec poczciwy,

Jedno słówko zabrzmiało.
Toż je pewno zgadniecie...
I sprawdzi się na świecie,
Bo się dziecko rozśmiało.

Miodu, miodu! a dużo!
Dziecku oczki się mrużą,
Pociągnijmy Bóg świadkiem,
Podzielmy się ostatkiem.

Radość weszła pod strzechę,
Co wam bracia się spieszyć,
Pan Bóg dał nam pociechę
I jakże się nie cieszyć.

T. Lenartowicz.

Przestrogi i rady gospodarskie.

Jak głęboko trzeba siać lub sadzić rozmaite rośliny?

Dobrzy gospodarze chcąc się dowiedzieć jak głęboko ma w ziemi leżeć ziarnko zboża, żeby największy plon wydało, zrobili następującą próbę: Odliczyli tysiąc ziarn zboża i posiali je na gruncie średniej rodzajności, zgoła nic tych ziarnek ziemią nie przykryli, jeno zostawili je tak leżące na wierzchu. Po roku zebrali z tych tysiąca ziarn, tylko 951 ziarn nowego zboża. Mało im się to widziało, bo juźcić człowiek radby zebrać nie mniej, ale więcej jak posiał. Na drugi rok zrobili więc nową próbę i posiali także tysiąc ziarn i na takim samym gruncie jak przeszłego roku, ale tak, że ziarna nie leżały już na wierzchu, ale były przykryte ziemią na pół cala. Owoż pokazało się, że tak posiany tysiąc ziarn zboża, wydaje 2776 ziarn, znacznie więcej jak wtedy, kiedy ziarna leżą na wierzchu. Zachęceni tem gospodarze posiali w roku następnym tysiączek ziarnek jeszcze głębiej, to jest tak, aby ziemia przykrywała

je na jeden cal, a zebrali z tego tysiączka 5670 ziarn. Od tego czasu powtarzali już corocznie swoją próbę, żeby się koniecznie dowiedzieć jaka też jest najstosowniejsza głębokość dla zboża. I cóż się pokazało? Oto, tysiączek ziarn przykryty ziemią na półtora cala, wydał 5991 ziarn, a zaś przykryty ziemią na dwa cale, już cokolwiek mniej, bo 5953 ziarn. Odtąd im głębiej wpuszczano ziarna w ziemię, tem mniej wydawały, tak że tysiączek posadzony w głębokości półsiodma cala pod ziemią, wydał tylko 315 ziarn. A zatem pokazało się, że ziarna przykryte ziemią na półtora cala, wydały najwięcej ziarn.

Doświadczenia w różnych glebach, przy różnych zmianach powietrza, przez wiele wiele lat umyślnie czynione, okazały, że kto chce zebrać największy plon, powinien siać lub sadzić nasiona w takiej głębokości jak następuje:

Jeżeli grunt jest ciężki, glinkowaty, natenczas pszenicę, żyto, owies, jęczmień trzeba przykryć ziemią na trzy ćwierci cala; groch, bób i hreczkę na cal, wykę na cal.

Jeżeli grunt jest lekki: pszenica, żyto, owies i jęczmień powinny leżeć na półtora do 2 cale pod ziemią, groch, bób i hreczka na 2 cale do półtrzecia cala, wyka na półtrzecia do 2 cale pod ziemią.

Nakoniec jeżeli grunt jest piaskowaty, wtedy trzeba siać pszenicę, żyto, owies i jęczmień tak, aby ziarnka były przykryte ziemią na półtrzecia cala, groch, bób i hreczka na 3 cale, a wyka na 2 cale.

Już wielu doświadczonych gospodarzy przekonało się, że to dobra i pożyteczna rada, przeto ją wam podajemy z prośbą, abyście ją przy siewce przyszłej mieli w pamięci i z życzeniem, abyście, gdy tej rady posłuchacie, jak najwięcej zebrali.

Jak odpędzić ślimaki od grządek w ogrodzie?

Wiadomo że ślimaki po całych dniach siedzą w trawie a pod wieczór wychodzą na grządki ogrodowe, obsiadują i psują najdelikatniejsze rośliny. Aby się ich pozbyć, posypuje się około grządek plewy jęczmienne albo grube trociny. Kto to zrobi może być pewnym, że jego grządki będą już bezpieczne,

bo gdy ślimaki wloką się do grządki, oblepiają się plewami i trocinami, to ich bardzo kłuje i dlatego czemprędzej zwracają się z drogi i uciekają.

Podporki przy młodych drzewkach.

Jest to bardzo piękny zwyczaj sadzić drzewka około dróg. Czynią to u nas prawie wszędzie, ale często się zdarza, że młode drzewka, świeżo posadzone, nie długo potem usychają. To wcześne usychanie drzewek pochodzi z rozmaitych przyczyn a bardzo często usychają drzewka tylko dlatego, że im dano złe podpórki. Otoż jeżeli podpórka sięga aż pod samą koronę drzewka, wtedy młodziuchne gałązki, poruszane wiatrem, ocierają się o paliki, kora się psuje, a od tego drzewko więdnieje i nakoniec usycha. Możnaby temu zaradzić, trzebaby tylko przywiązać drzewko do palika tak mocno aby się ruszać a tem samem i obcierać nie mogło, ale i to bardzo zły sposób, bo takie ściskanie drzewka młodocianego jest także szkodliwe. Najlepiej jest gdy paliki nie są zbyt wysokie, i nie sięgają do samej korony drzewka. Powinny być tak zaciosane, aby się kończyły na ćwierć łokcia pod koroną. To samo rozumie się także o drzewkach owocowych.

Nieprzyjaciele śliw.

Często cieszy się gospodarz widząc z wiosny śliwy swoje obsypane kwieciem, bo się spodziewa, że w jesieni będzie miał piękny zbiór. Atoli nieraz się zdarza, że ledwie śliweczki do połowy swej wielkości urosną, zaczynają więdnąć, opada mnóstwo drobnego owocu i na drzewie, na którem tyle było kwiecia, ledwie kilka owoców dojrzewa zupełnie. Sprawcą tej szkody jest osa śliwkowa. Ona to, zwabiona wonią drzewa, jak tylko kwiat się rozwinie, przekłuwa dziurkę w spodzie kwiatka i składa jajko właśnie tam, gdzie się ma tworzyć owoc. Z tego jaja wylęga się wkrótce mała gąsieniczka, która póty świdruje, aż się dostanie do samego środka jądra i wygryza je, a wtenczas śliwka więdnie i na ziemię spada. Gdy już śliwka

spadnie na ziemię, gąsienica wychodzi z owocu, zagrzebuje się w ziemi, oprzęda się tam i później wychodzi znowu jako osa. Owoż chcąc się od tych os jeżeli nie na teraz, to przynajmniej na rok przyszły zabezpieczyć, trzeba wszystkie opadłe śliwki pilnie zbierać i niszczyć, nim z nich wyjdą gąsienice, a kto tego zaniedba, może się spodziewać, że na przyszły rok znowu się śliwek nie doczeka.

Dobra rada dla majstrów kowalskich.

Posłuchajcie pilnie kochani majstrowie co wam opowiem, a nauczycie się doskonałego sposobu hartowania lemieszy od pługów. Owóż bierze się cienki, wązki kawałek żelaza, trzyma się go w ogniu, w największem gorącu, póki się nie zacznie topić i kapać, wtedy kładzie się pod niego lemiesz okuty z miękkiego żelaza i tak trzyma, aby na niego kapały krople roztopionego żelaza, kropla po kropli, zwłaszcza na te miejsca, które się najprędzej od ziemi psują. Potem hartuje się lemiesz w wodzie, jak zwykle, i na tem koniec, bo już nic więcej robić nie trzeba, chyba obszlifować trochę tam gdzie się nakapało. Można tak samo i podkowy hartować a będą trwały daleko dłużej niż hartowane stalą.

O gospodarzach i gospodarstwach wiejskich w kraju węgierskim.

Błogosławiona to ziemia ta kraina węgierska; popytajcie wędrownika, popytajcie wojaków co tam byli, a pewnie każdy to samo wam powie. Ledwo przejdziesz Karpaty, bo jak wiecie, Węgry leżą za górami karpackiemi ku południowi, zaraz ujrzysz jaki to kraj szczęśliwy, jaki obfity, jak bogaty we wszystko. Dlatego też i lud wiejski jest tam bardzo zamożny, mieszka w wygodnych chatach, je smaczno i ubiera się pięknie.

W kraju węgierskim mieszkają ludzie rozmaitych plemion. Są tam Madiarowie i tych jest najwięcej, Słowacy, Niemcy, Wołosi, Żydzi i Cyganie. Madiarowie pochodzą z Azji, ale

osiedli tu od wielu, wielu wieków. Mówią oni swoim osobnym, madiarskim językiem. Lud to piękny! Każden Madiar chłop w chłopa rosły, barczysty, cery bladej, za to oczy ma ogniste jak dwa węgliki a włosy czarne, połyskujące, jakby pióra krucze. Nosi wąsy mocno nawoskowane, aby się dobrze trzymały; jest żywy, wesoły, prędko się zapala ale i prędko przebacza urazę, w boju waleczny, a w domu gościnny. Dumny z tego, że się Madiarem urodził, pogardza Słowakami a nienawidzi Niemców i Czechów, ale cesarza i rodzinę cesarską, choć to także ród niemiecki, Madiarowie kochają bardzo i swoje do nich przywiązanie okazują zawsze statecznie tak jak do praw swoich i zwyczajów odwiecznych.

Ponieważ nienawidzą Niemców, nie cierpią też i niemczyzny i choćby jaki Madiar najlepiej umiał po niemiecku, nie będzie mówił tym językiem, ale swoim rodowitym, nie tak jak nasi urlopnicy, którzy, skoro się tylko trochę przy wojsku nauczą po niemiecku, zaraz się z tem w domu jak sroki popisują.

Madiarowie ubierają się bardzo pięknie. Mężczyźni noszą kapelusze z szerokiemi kresami w górę podniesionemi, w zimie czapki futrzane bez daszków, koszule krótkie z szerokiemi rękawami, spodnie obcisłe, suto sznurkami powyszywane i ciżmy skórzane z różą ze sznurka na cholewie; nadto kamizela z granatowego sukna, wyszyta mnóstwem białych i żółtych guziczków, dalej kaftan czyli dołman sukienny siwy lub czarny, obcisły, z sznurkami i guziczkami. W zimie nosi Madiar bekieszę futrem podszytą, albo przynajmniej lamowaną i jeszcze suciej sznurkami ozdobioną, a gdy się zagrzeje, to tę bekieszę zdejmuje z rękawów i zawiesza jakby od niechcenia na lewem ramieniu. W lecie i zimie Madiar nosi wszędzie z sobą płaszcz z białego grubego sukna, wyszyty w kwiatki, a w silne mrozy ubiera się w kożuch barani.

Kobiety noszą krótkie, fałdziste bekiesze z półsukienka granatowe albo zielone, gorsety czerwone albo czarne, ze sznurkami i wstążkami, na głowie chusteczka, na nogach zgrabne buciki, czarne albo czerwone. Dziewczęta zwieszają z tyłu warkocze pięknie splecione, z wstążkami na końcu. W niektórych

miejscach noszą białogłowy futra bardzo stare, które mają po sto i więcej lat; te futra przechodzą z matek na córki i są w wielkiem poszanowaniu.

A teraz mili czytelnicy, radzibyście może dowiedzieć się, czem się też Madiar żywi? Owoż w kraju węgierskim lud wiejski jada chleb, groch, słoninę, kukurudzę i czosnek; ci którzy mieszkają nad rzekami albo jeziorami, jedzą dużo ryb. Wino i wódkę najbardziej lubią, za to piwa nie piją wcale. Wszystkie potrawy gotują tłusto i pieprzno, papryka jest najgłówniejszą przyprawą i bez niej się Madiar nie obejdzie. Narodową i najulubieńszą potrawą madiarską jest gulasz, mięso duszone z cebulą, pieprzem, imbirem i innemi korzeniami. Bardzo lubią także tytoń, palą go we fajkach i żują w zębach.

Domy we wsiach madiarskich są bardzo schludne, bardzo porządne. Mieszkanie składa się najczęściej z dwóch izb, kuchni i komory. A domy te nie tylko są stawiane z drzewa jak u nas, ale także i to najwięcej z cegieł wysuszonych na słońcu. Stawiają także domy z ziemi, a to tak, że kładą dwie deski, tak daleko od siebie jak mur ma być gruby, pomiędzy te deski sypią ziemię i bardzo mocno ubijają. Gdy już dobrze ubiją, natenczas podnoszą deski nieco wyżej, znowu sypią ziemię i ubijają, i to tak długo się powtarza, aż staną ściany pod dach. Domy są zwrócone drzwiami do gościńca, a przed każdym domem jest ładny ganeczek, jakby przed jakim pańskim dworkiem. W tym ganeczku siedzi sobie zwykle na ławeczce gospodarz, pali fajeczkę na krótkim cybuchu i wąsy wyciąga; posiedziawszy tak, idzie do izby, zje kawał słoniny, popije winem i znowu idzie siedzieć w ganeczku, palić fajkę i wąsa wyciągać. Dachy pokrywają czasem słomą albo trzciną, najczęściej gątami i taką cegłą co się zowie dachówką Stajnie, stodoły i inne budynki gospodarskie nie stoją nigdy na widoku, lecz są zawsze w głąb zagrody odsunięte, a kałuży i gnojówki przed żadnym domem nie ujrzysz, choćbyś ze świecą szukał. Wszystkie domy są porządnie i czysto utrzymywane, tak po wierzchu jak w środku często bielone, podwórko przed każdym domem zawsze pięknie zamiecione i wypielone z chwastu. Wejdźmy do izby, tam także

porządek aż miło popatrzeć. Na łóżkach pierzyny po powałę sięgają, nad stołem, przy którym się jada, ujrzysz rozwieszone dzbanki, flaszki, garnki i inne naczynia kuchenne, wszystko tak czysto wymyte, że aż połyskuje. Na innych ścianach wiszą obrazki Świętych w pięknych ramach. Gdy kto po raz pierwszy przyjdzie do jakiej wsi madiarskiej, to mu się zdaje, że do jakiego miasteczka zabłądził, bo też to tu i domy, i ulice, i sklepy, a do tego czasem i dwa i trzy kościoły w jednej wsi! tego u nas nieraz i w miasteczku nie ujrzysz!

Ale nie myślcie sobie, że Madiar do tak dobrego bytu przychodzi przez ciężką i ustawiczną pracę! Daleki on od tego! Tam ziemia tak jest rodzajna, że wszyscy choć bez pracy mają dosyć. Madiar lubi ujeżdżać konie na rozległych równinach, wypasać bydło na bujnych łąkach, polować i ryby łowić, do tego on jedyny, ale do ciężkiej pracy ma wstręt. Za to pełna szklanica, to uciecha dla niego, a gdy mu Cygan zagra Czardasza na skrzypcach, wtedy w miejscu ustać nie może, tak pod nim nogi skaczą. Z tego jakoteż i z waleczności i męztwa są Madiarowie bardzo do nas podobni i ztąd to urosła przypowiastka:

Węgier, Polak dwa bratanki,
Jak do szabli, tak do szklanki.

I dlatego to Polacy Węgrów a Węgrzy Polaków tak zawsze kochają. I wesela u Madiarów odbywają się bardzo wesoło i trwają nieraz przez kilka dni, a te kilka dni spędzonych na hulance i pijatyce mijają jak z bicza trzasł. Podczas uczty weselnej czterech albo sześciu muzykantów zasiadają na piecu, lub gdzie w kącie izby i otacza ich z dziesięciu albo więcej dzieciaków, którzy za każdą misą na stole postawioną wszczynają taki hałas, jakby strzelał z armaty. Pomiędzy potrawami musi być koniecznie na każdem weselu ozor z miodem, aby nowozaślubieni przez całe życie zawsze słodko do siebie przemawiali. Po uczcie zaczynają się tańce, więc najprzód czardasz, bo to narodowy i najulubieńszy taniec Madiarów, a potem taniec makowy, bardzo zabawny, w którym tańcujący tak rękami wywijać muszą jakby mak siali, zbierali, młócili i jedli; potem taniec koguci, w którym i muzyka i tańczący naśladują pianie koguta, a na ostatek taki taniec, w którym

jeden drugiemu kijami i prętami plecy okłada. Jest u Madiarów także taki zwyczaj, że gdy pannę młodą prowadzą po weselu do męża, wtedy każda z dziewcząt niesie w ręku zapaloną świecę, ale to sprawia smutny widok, bo przypomina pogrzeb.

Słowacy albo mieszkają pomiędzy Madiarami, albo mają swoje wsie osobne, w których wcale nie ma Madiarów. Mają język bardzo podobny do polskiego. Mężczyźni słowaccy noszą kamizole sukienne białe, spodnie granatowe sukienne, buty do kolan, kapelusz wysoki z szerokiemi kresami. Nadto wdziewają w zimie płaszcz z grubego, białego sukna. Białogłowy słowackie ubierają się tak jak i madiarskie. Dziewczęta chodzą zwykle z gołemi głowami, tylko na wielkie święto stroją głowę w pasek aksamitny czarny, złotem i srebrem przerabiany. Każda musi mieć bekieszę suto sznurami wyszytą i wielki to wstyd, gdy która nie może sobie zarobić na taką bekieszę. Noszą trzewiki, ale nie takie zgrabne jak Madiarki.

Słowacy jadają to samo co Madiarowie, mieszkania mają jeszcze przyjemniejsze i schludniejsze i przy każdym domu jest sad. Wesela odbywają się u nich także tak samo jak i u Madiarów; tańcują zaś tak, że najprzód kręcą się same dziewczęta, a potem z parobkami, niewiasty zaś zamężne siedzą na ławach i spiewają z całego gardła tak mocno, że się aż szyby trzęsą.

Ludność węgierska, to jest tak Madiarowie jak i Słowacy, trudnią się najwięcej rolnictwem, ale wiele pola leży tam odłogiem, bo ziemia jest bardzo rodzajna, wiele siać nie potrzeba a i tak dosyć się urodzi. Są takie wsie, gdzie nigdy roli nie gnoją a i tak zbierają plon obfity. W nizinach uprawiają pszenicę, Słowacy zaś sieją najwięcej żyta i jęczmienia na paszę dla bydła; sieją też i owies tak jak u nas. W południowych i wschodnich Węgrzech uprawiają wiele kukurudzy na paszę dla świń, a z mąki kukurudzianej pieką chleb. Miejscami uprawiają także hreczkę i proso. W niektórych wsiach próbowano uprawiać ryż i próba się udała. Ziemniaki, groch, bób itd. uprawiają także w całych Węgrzech. W ogrodach i na polach sadzą kapustę, szparagi (które także tu i owdzie dziko rosną), ogórki, chrzan, paprykę, kminek, koper, czosnek, cebulę, szafran, bu-

raki, melony, kawony, dynie. Melony i kawony u nas tylko panowie jadają, bo są drogie, tam zaś najbiedniejszy wyrobnik może ich jeść tyle, wiele mu się podoba, bo nie są droższe jak kapusta albo ziemiaki. Na Węgrzech udają się także doskonałe gatunki tytoniu i uprawiają go tam bardzo wiele, także mak, len, konopie, rzepak, chmiel, rośliny do farbowania i rozmaite trawy. Sady są tam bardzo piękne a w nich najśliczniejsze owoce, obok sadów winnice gdzie wino rośnie a wina najwięcej i bardzo dobrego rodzi się w kraju węgierskim. Wino węgierskie białe i czerwone rozchodzi się po całym świecie, bo go też co rok wywożą blisko dwadzieścia miljonów wiader; pomyślcie tylko wiele to miljonów dukatów za to wino przychodzi co rok do kraju. Gospodarze po wsiach miewają dość znaczne winnice, sami wyciskają wino i co sami nie wypiją to sprzedają do cudzych krajów.

Zachodnie i południowe Węgry obfitują w lasy, a we wschodnich mało jest lasów i tam ludzie palą zamiast drzewa gnojem, torfem, słomą, trzciną itd. W lasach wyrabiają smołę, maź, terpentynę. W środku węgierskiego kraju są rozległe stepy, takie równiny ogromne, piaszczyste i urodzajne na przemian, w których ani drzewka nie ujrzysz jeno do koła tylko niebo i ziemię. Tam wsie są rzadkie, ale za to pastwiska są wyborne, tam więc siedzą tylko pasterze w szałasach i wypasają ogromne stada bydła i koni, i siedzą z bydłem w tych puszczach przez cały rok latem i zimą. Konie węgierskie są bardzo dobre, silne i rącze, a woły nawet sławne; po woły przyjeżdża bardzo wiele kupców z dalszych krajów i zakupują co rok po sto tysięcy sztuk. Chowają także w Węgrzech bardzo wiele świń, większą część na własną potrzebę, bo sami dużo słoniny zjadają, a resztę sprzedają. Świnie karmią najwięcej kukurudzą, ale także żołędzią i bukwią. Słowacy w górach chowają wiele owiec i robią wyborną bryndzę, która i do nas przychodzi.

Zresztą Węgrzy zajmują się także rybołostwem i pszczelnictwem, a są tacy co i jedwab umieją już robić; w każdej wsi są tkacze i nikt tam płótna nie kupuje jeno z własnego lnu albo konopi każe sobie robić tyle ile mu potrzeba.

W górach węgierskich kopią złoto, srebro, żelazo, miedź, sól, węgle, saletrę, ałun, marmury i drogie kamienie.

Ponieważ już wiecie, moi mili czytelnicy, że naród węgierski nie jest bardzo skory do pracy, nie będziecie się dziwić gdy wam powiem, że w tym kraju są drogi równie złe a często i gorsze jak u nas, ale za to jest tam wiele kolei żelaznych, a po Dunaju co środkiem Węgier płynie, krążą nieustannie statki czyli okręty parowe z różnemi towarami.

Pożegnanie.

Czytaliście nieraz w tym waszym „Dzwonku" piękne powiastki, żywoty Świętych Pańskich, jako też rozmaite rady i przestrogi rozumne, podpisane na końcu literami *B. E.* Wszystkie te artykuły pisała dla was pewna bardzo zacna pani, która od wielu już lat rozumem swoim i sercem złotem służy biednemu ludowi wiejskiemu. Pobożna, litościwa, ani grosza, ani czasu nie pożałuje nigdy dla biedaka. Chorzy schodzą się do niej po radę, ubodzy po wspomożenie, dzieci wiejskie na naukę, a ona nikogo nigdy nie puści z gołemi rękami. Choremu daje leki i pouczy go dobrotliwie jak się ma zachowywać, aby prędzej do zdrowia przyszedł, żebraka wesprze według potrzeby i możności, dzieci uczy religji świętej, czytać i rachować. Ma ta pani i dom i gospodarstwo choć nie wielkie, więc i roboty dość koło swego, a przecie na wszystko starczy jej czasu; widocznie Bóg błogosławi poczciwym jej chęciom!

Zacna ta pani mieszkała od kilkunastu lat w Smerekowie pod Kulikowem niedaleko Lwowa wraz z mężem swoim, tak jak i ona bardzo kochanym przez całą gromadę; a kochanym słusznie, bo się nie mało zasłużył gromadzie: pełnił rozmaite urzędy gromadzkie, poważnionych godził, potrzebujących rady oświecał, a wszystko za darmo, li tylko dla chwały Boskiej i dobra swoich bliźnich.

Ale jak wielu innych ludzi szlachetnych i dobrych, tak i zacnych tych państwa nawiedził Bóg wielkiem nieszczęściem: oto dał im pięcioro dziatek ślicznych jak aniołki i po kolei

wszystkie pięcioro powołał znowu do siebie. Takim strasznym ciosem dotknięci nieszczęśliwi rodzice, nie szemrali jednak przeciwko Bogu, owszem z pokorą poddali się niezbadanym wyrokom niebios — a od tego czasu jeszcze bardziej zbliżyli się do biednego ludu, jeszcze gorliwiej pracowali na chwałę Boską i pożytek bliźnich, zaskarbiając sobie u ludzi miłość wielką i poważanie.

Wszyscy gospodarze w Smerekowie, ba i w dalszych wsiach przejęci wdzięcznością dla tych dobrych państwa, którzy im tyle łask świadczyli, przywiązali się do nich całem sercem i uważali ich jako aniołów przez Boga zesłanych na pocieszenie biednego ludu — to też łatwo sobie wyobrazić jaki smutek powstał pomiędzy nimi, gdy się rozeszła wieść, że państwo sprzedali swoją cząstkę w Smerekowie i przenoszą się w inne strony. Smutna ta wieść niestety wkrótce się ziściła. Państwo doprawdy wyjechali ze Smerekowa — owoż chciałbym wam opowiedzieć jak ich tam ludzie pożegnali, bo to doprawdy warto posłuchać.

Owoż w Smerekowie jest bardzo mądry i wszędzie szanowany proboszcz, już siwiuteńki staruszek. Gdy państwo, o których wam piszemy przybyli do tej wsi i tu osiedli, nie był on jeszcze taki sędziwy, a oni byli młodzi i niedoświadczeni. Pokochał ich zaraz i był z początku ich doradzcą i opiekunem a potem najserdeczniejszym przyjacielem. Ten ich poczciwy przyjaciel ogłosił nabożeństwo na ten dzień, w którym państwo *E.* mieli odjechać z Smerekowa. Na to nabożeństwo przybyła nie tylko cała gromada smerekowska, ale także i gospodarze z najbliższych wsi, z żonami i dziećmi. Kościół był napchany, a nikogo tam nie było, co by ze łzą w oku nie modlił się do Pana nad Pany o błogosławieństwo dla odjeżdżających. Po nabożeństwie i błogosławieństwie powstał płacz, lament, zawodzenie nie do opisania, jakiego przy żadnym pogrzebie nie doświadczono. Szanowny staruszek proboszcz, upominał, nawet karcił, aby tak ludzie nie zawodzili a sam zanosił się od płaczu; nic nie pomogło. Tak ich przez całą wieś wyprowadzali ludzie poczciwi i rzucali do powozu chleb, osełki masła, sera, jaja, a białogłowy upewniały panią, że te pięć

mogiłek, które zostawia na tutejszym cmentarzu, codziennie w świeże kwiatki przystrojone będą, dopóki kwiatków starczy na ziemi.

Nakoniec woźnica zaciął konie i tuman kurzawy wzniósł się za odjeżdżającymi, a lud rozżalony stał jeszcze smutny, z zapłakanemi oczyma i uspokoić się nie mógł.

Na takie u ludzi pożegnanie tylko wielką cnotą zasłużyć sobie można. Wy coście tam nie byli, coście nie znali tych poczciwych państwa, już z tego opisu poznacie jak oni dobrzy być musieli; westchnijcie więc i wy za nich pobożnie i proście Boga, aby im za tę ich cnotę błogosławił, aby ich ustrzegł od dalszych nieszczęść a pozwolił im długo jeszcze cieszyć się miłością i przyjaźnią ludzi poczciwych.

RÓŻNOŚCI.

Burze i ulewy. Ciągle i ciągle deszcze padają i w całym kraju zrządzają ogromne szkody. Z rozmaitych stron donoszą nam o tem smutne nowiny. Jesteśmy bardzo niespokojni, bo jeźli Pan Bóg w miłosierdziu swojem nie odwróci tej klęski, to cóż się z nami stanie? Ledwie się grady skończyły, co ludziom wiejskim tyle szkód narobiły, teraz znowu i to właśnie gdy się sianokosy pozaczynały, deszcze leją i leją, a biedny człowiek nie wie, kiedy się już skończą te wszystkie klęski.

Dobry posłaniec. Jeden wieśniak poszedł na robotę do pobliskiego miasteczka i siedział tam przez kilka dni, a jego żona została w domu z dziećmi. Zdarzyło się, że żydek z tej samej wsi miał iść do miasteczka do krewnych. Dowiedziała się o tem dobra kobiecina i prosiła żydka aby zaniósł jej mężowi sérek i kilkanaście groszy. Żydek podjął się chętnie, schował sérek i pieniądze i poszedł.

W trzy dni potem wieśniak wrócił. Jakże się zdziwiła jego żona gdy się dowiedziała, że ani sérka, ani pieniędzy nie odebrał. Pobiegła zaraz do karczmy ale tam jej powiedzieli, że Moszek jeszcze nie wrócił od krewnych. Czekała dni kilka, Moszek wraca.

— Moszek, a co ty zrobił z sérkiem? — zapytała go zaraz.

— Nu, ja jego zjadł — odpowiedział żydek spokojnie?

— A pieniądze?

— Aj waj! pieniądze! a mnie co za drogę? to wy myślicie, że ja za darmo będę dźwigał taki wielki ser? tak daleko? Aj waj! jaka mądra!

Kradzieże urzędników moskiewskich. Jakie ogromne kradzieże popełniają urzędnicy moskiewscy widać z tego, że w jednem mieście, które się nazywa Niżny Nowogród, zginęło w roku zeszłym tyle soli z magazynu, co wartała 840 tysięcy rubli srebrnych. Dopiero teraz wykryła się ta kradzież i pokazało się, że złodziejami byli urzędnicy od tego magazynu. Oni mieli pilnować, aby kto soli nie ukradł, a tymczasem sami kradli jakby i najlepszy złodziej nie potrafił.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Dowiadujemy się ludkowie kochani, że lubicie czytywać ten nasz „Dzwonek“ i chcecie, aby wam po staremu dzwonił, tak jak już przez tyle lat dzwoni to dla zabawy, to dla nauki poczciwych i pobożnych. Owoż kiedy tak, to donosimy wam, że to pismo będziemy dla was i nadal wydawać a w niem także jak dotąd będziemy umieszczać żywoty Świętych Pańskich i rozmaite historje święte, piękne powieści, nauczające bojaźni Bożej, która jest początkiem mądrości i różne ciekawe opowiadania z owych dawnych czasów, kiedy **to** jeszcze lepiej u nas bywało, i wiersze różne i pieśni pobożne, a dalej piękne przykłady cnoty i dobrych uczynków, rozumne rady i przestrogi tak gospodarskie, jak i waszemu i waszych dzieci zdrowiu na pożytek, i nie omieszkamy donosić o różnych przytrafunkach, skoro się co ważnego zdarzy. Oprócz tego będziemy wam dawać i inne opisy, których dotychczas nie bywało w „Dzwonku“, a osobliwie abyście się dowiedzieli jak też ludzie wiejscy w innych krajach gospodarzą, jakie mają zwyczaje, boć to wszystko człowiek rozumny wiedzieć powinien i kraj ten nasz polski opiszemy wam tak, że go znać będziecie, jakbyście byli w każdem mieście.

O małą tylko rzecz chodzi, a to, abyście nie zaniedbywali zapisywać się na „Dzwonek“, abyście się starali, by go dziatwa miała w każdej szkółce. Tej malej opłaty, ***jeden reński na pół roku*** a ***dwa reńskie na cały rok*** nie żałujcie. Nie jeden gospodarz, choć niebardzo zamożny, nieraz i więcej marnie puści z dymem, a tego nie żałuje, cóżby to było dopiero, gdybyście dla waszej nauki i pożytku w gospodarstwie a nawet i dla zbawienia dusz waszych żałować mieli tej małej ofiary, która się wam i dzieciom waszym stokrotnie powróci, bo to co dacie na „Dzwonek“ nie zginie, jeno i dla was i dla nich będzie z tego pożytek.

Życzymy wam zdrowia i oddajemy was Panu Bogu.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.